

„Dziecko co z ciebie wyrośnie?!“

Lubi makaron i kaszankę, jazdę samochodem i włoskie morze. Kardynał Zenon Grocholewski - jedna z najważniejszych postaci w Watykanie, bliski współpracownik najpierw Jana Pawła II, teraz Benedykta XVI.

Poliglota, wszechstronnie wykształcony, znawca prawa kanonicznego, autor ponad 700 publikacji naukowych w 12 językach. Zabiera głos w ważnych dla Kościoła sprawach, w takich samych proszony jest o komentarz przez dziennikarzy (i być może dlatego dziennikarze właśnie jego widzieli na miejscu odchodzącego na emeryturę prymasa Glempa).

Kardynał Zenon Grocholewski ma 67 lat, od 40 mieszka w Rzymie, od 4 przyjeżdża do Ciechocinka. Odpocząć.

Mieszka zawsze w tym samym sanatorium, zawsze w tych samych apartamentach.

Kilka dni temu burmistrz Ciechocinka wręczył kardynałowi tytuł honorowego obywatela miasta. Jeszcze wcześniej zrobił to prezydent Poznania.

Kim jest kardynał Grocholewski?

Mój pierwszy krzyk

- Mieszkaliśmy przy trasie Berlin - Poznań, niedaleko granicy, w miejscowości Sępolno. Gdy rozpoczęła się wojna mojego ojca aresztowano, mama musiała uciekać. I ja - w czasie tej ucieczki - się urodziłem; w jakimś przypadkowym domu, w Bródkach. To był bardzo zimny październik, nie było żadnej pomocy, lekarza. Byłem chory, miałem wrzody, podobno nieustannie płakałem. Mama, kiedy wspominała pierwsze dni mojego życia, zawsze mówiła: myślałam, że nie przeżyjesz (później, w 1983 roku, gdy zostałem biskupem, jeden z księży napisał, że mam bardzo silny głos, bo od samego początku dużo krzychałem!). A ja przeżyłem, wszystko dobrze się ułożyło, wróciliśmy do Sępolna, później przeprowadziliśmy się do Miedzichowa, w którym ojciec otworzył sklep.

Nasz ojciec

- Zazwyczaj jest tak, że człowiek czuje większy związek emocjonalny z matką, ale my - ja i moje rodzeństwo - byliśmy pełni podziwu wobec ojca. To był człowiek szlachetny, kryształowy. Pracował z entuzjazmem, wszyscy go lubili. Chodząca dobroć. Pomagał nam, sąsiadom, obcym ludziom (raz Niemcy przyłapali go na tym, jak rozdawał Polakom cukier przeznaczony dla Niemców). Cieszył się, gdy mógł komuś pomóc. Przebaczał wszystkim, mimo że nie zawsze spotykały go dobre rzeczy ze strony innych: Niemców, którzy go aresztowali; Rosjan, którzy zniszczyli nasz dom i dobytek; i komunistów, którzy pewnego dnia przyszli do naszego sklepu, spisali towar i kazali zapłacić nam taki podatek, że... To tak, jakby przyszli złodzieje i zabrali wszystko. Było jeszcze śledztwo, ojca aresztowali, my nie mieliśmy żadnego dochodu, nie było jedzenia, niczego. Przeżyliśmy tylko dzięki pomocy ludzi, którym ojciec pomógł w przeszłości. Mimo tego poniżenia i niesprawiedliwości ojciec

wybaczył. To on uczył nas, że trzeba wszystko z Panem Bogiem zaczynać i z Panem Bogiem kończyć. Bardziej niż słowem uczył przykładem, postawą.

Ja, mały Zenuś

- Moi rodzice liczyli, że księdzem zostanie Władziu nie ja. Obydwaj byliśmy ministrantami, ale to mój brat był bardziej gorliwy nigdy nie opuszczał wyznaczonej mu Mszy, a kiedy nie mógł iść w październiku na różaniec, to odmawiał go w domu. A ja byłem krnąbrny, bardziej ruchliwy. Ksiądz mnie trzy razy wyrzucił z ministrantów. Kiedyś nawet, podczas kolędy. Innym razem wymyśliliśmy z kolegą, żeby straszyć ludzi wracających z różańca. Kiedy to sobie teraz przypomnę... I może dlatego zawsze miałem wyrozumienie dla krnąbrnych dzieci.

To, że mają więcej fantazji, nie znaczy, że są złymi. A w domu? Raz mama popatrzyła na mnie z troską i powiedziała: „dziecko, co z ciebie wyrośnie?“, a mnie tak smutno się zrobiło, że poszedłem sobie za szafę popłakać.

Nauka

- Ponieważ władze państwowe nie uznały naszej matury, którą zdaliśmy w Niższym Seminarium Duchownym, podczas pierwszego roku w Wyższym Seminarium zdawałem po raz drugi maturę w jednym z gimnazjów w Poznaniu. W Niższym Seminarium jednak w inny sposób uczono historii i nie przywiązywano wagi do współczesnych autorów o orientacji komunistycznej. Toteż podczas tej matury stosowałem taką metodę, że gdy czegoś nie wiedziałem, to przechodziłem od razu na inny temat, w którym miałem coś do powiedzenia, a profesorowie nie zawsze byli na tyle sprytni czy zainteresowani, żeby ściągać mnie na odpowiednie tory. Pomagała mi wyobraźnia i trochę sprytu.

Na przykład skutecznie porównywałem dwie książki, których w ogóle nie czytałem. Na studiach jednak... Studiowanie wyglądało już zupełnie inaczej.

Wolą arcybiskupa miałem studiować prawo kanoniczne na Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim. Kiedy przyjechałem do Rzymu, koledzy przestrzegali mnie: to najbardziej surowy i wymagający uniwersytet, nie idź tam, nie zdasz; sześciu polskich księży już oblało studia.

Ta panika spowodowała, że solidnie zabrałem się do nauki od początku, a rezultat przeszedł moje oczekiwania - byłem pierwszym Polakiem, który dostał złoty medal na ukończenie studiów i drugi - za doktorat.

Ja i sport

- Byłem mocny w ping-pongu i siatkówce. Wygrałem nawet z reprezentantem Polski juniorów w ping-ponga.

W grze w siatkówkę, pomagał mi wysoki wzrost, w ping-pongu - dewiza, która mówi, że wygrywa tylko ten, kto atakuje, kto się broni, ten przegrywa. Staralem się więc grać ostro i mocno. Niestety, przez taką grę nadwyrężyłem sobie rękę i teraz, nawet gdybym miał taką możliwość, nie stanąłbym przy stole. Ostatni sukces? Akurat, kiedy przyjechałem do Rzymu, w kolegium polskim odbywały się zawody dla księży (nagrodą było stare, dobre wino). Nikt mnie tam nie znał, nie wiedział jak gram, więc zaproponowali mi udział w zawodach. Nie było na mnie mocnych!

Gdybym nie był księdzem...

- Zawsze imponowało mi aktorstwo. Gdybym więc nie wybrał drogi kapłaństwa... Byłem też rozkochany w matematyce (nigdy nie musiałem się jej uczyć, bo tu nie ma czego się uczyć, tu jest wszystko jasne), wszyscy w mojej rodzinie byli dobrymi matematykami. Może dlatego, że tak często pomagaliśmy ojcu w sklepie, liczyliśmy, mnożyliśmy? Tego nie wiem, ale wiem, że mógłbym zajmować się matematyką zawodowo. Później, w seminarium, interesowała mnie filozofia, a także psychologia. Skończyło się na prawie. Rodzice? Ojciec widział nas kupcami. Muszę też zaznaczyć, że rodzice nigdy do kapłaństwa mnie ani nie zachęcali, ani nie przeszkadzali w podjęciu decyzji. Chcieli, żeby to był tylko mój wybór. Widziałem jednak, że ten wybór ich cieszył. Dopiero po święceniach kapłańskich moja mama powiedziała mi, że całe życie się modliła, żeby któryś z nas został księdzem. I za to jestem jej bardzo wdzięczny.

Podróż do Rzymu

- Do Rzymu wyjechałem w 1966 roku. W Wielkim Tygodniu, pociągiem. Oficjalnie można było zabrać ze sobą tylko pięć dolarów, ale ja - jak wielki przemytnik - miałem dziesięć. Oczywiście, wydawało mi się, że to mnóstwo pieniędzy, bo było to więcej niż jedna miesięczna pensja. Mając więc tak ogromną sumę w kieszeni, postanowiłem w czasie postoju w Wiedniu pojechać taksówką na Stephanplatz, żeby zwiedzić katedrę.

Nie wiedziałem, że na tę taksówkę stracę ponad połowę pieniędzy! Na dworzec wracałem piechotą.

Na obcej ziemi

- Przez pierwsze sześć lat nie mogłem wrócić do Polski, bo nie miałem żadnej gwarancji, że dostanę ponownie paszport. Przez ten czas czułem się więc jak na wygnaniu. Najgorzej było podczas wakacji, kiedy wszyscy rozjeżdżali się do domów i Kolegium, w którym mieszkałem — zamykano. Korzystałem wtedy z kursów językowych w Niemczech i Francji oraz pomagałem w różnych parafiach.

Jeden dzień w Watykanie

- Nie należę do ludzi, którzy wstają wcześnie, dlatego budzik dzwoni zawsze o 6.30. Później medytacja, brewiarz, msza święta (mam prywatną kaplicę i jest to dla mnie miejsce bardzo drogie), jeszcze później lekkie włoskie śniadanie. Pracę w moim urzędzie rozpoczynam o 8.30 i kończę o 13.30. Jadę do domu na obiad, później pół godziny sjeisty, bo nie mógłbym pracować bez chwili odpoczynku przez cały dzień. Około godz. 15.30 rozpoczynam pracę w domu i wcale nie ma tej pracy mniej niż w biurze, w którym nie mam czasu na pisanie przemówień, referatów. Nie ma warunków na przemyślenie pewnych problemów, bo w biurze mam wizytę za wizytą - przychodzą biskupi, ambasadorowie, rektorzy uczelni, współpracownicy, to trzeba sprawdzić, przeczytać, poprawić, podpisać... W biurze nie mam czasu na pracę twórczą. Praca twórcza dokonuje się w domu. I jest jej ogrom. Oprócz tego, że jestem prefektem Kongregacji ds. Wychowania Katolickiego, pełnię mnóstwo innych funkcji, które kosztują raz mniej, raz więcej pracy. Najbardziej angażująca jest Kongregacja dla Biskupów i Kongregacja Doktryny Wiary, bo problemy tam poruszane

są najtrudniejsze. Bywało, że siedziałem do trzeciej w nocy, żeby móc następnego dnia przedstawić moją opinię. Zazwyczaj jednak pracuję do północy.

Dom nad Tybrem

- Mieszkam w renesansowym pałacu, jednym z najpiękniejszych w Rzymie. Korytarze i pomieszczenia są tak wysokie i duże, że z połowy metrażu można byłoby zrobić mieszkanie bardziej przytulne (niestety, nie można niczego zmieniać, bo wszystko jest zabytkowe).

Mieszkam sam, rano tylko przychodzą do mnie siostry zakonne, żeby posprzątać, wyprać, ugotować obiad. Czasem mówię, na jakie danie mam ochotę, ale raczej zostawiam im wolną rękę. Śniadania robię sam.

Kulinarne upodobania

- Kiedy przyjechałem po sześciu latach pierwszy raz do Polski, moja mama chciała mnie ugościć jak mogła najlepiej, chciała przygotowywać mi jakieś specjały, ale ja zażyczyłem sobie kapustę, placki ziemniaczane i kaszankę. Mama była zrozpaczona, a ja szczęśliwy, bo są to potrawy, które pamiętam z dzieciństwa. Poza tym nie jem tego w Rzymie. W Rzymie zajadam się przyrządzanymi na różne sposoby makaronami. Lubię też próbować lokalnych przysmaków. Obojętnie więc gdzie jadę - do Tajlandii, Brazylii, Libanu - zawsze proszę o potrawę charakterystyczną dla danego kraju, regionu.

Samochody

- W Rzymie sam prowadzę i bardzo lubię to robić, bo to dla mnie pewnego rodzaju rozrywka. Przez wiele lat przyjeżdżałem do Polski samochodem i mimo tysięcy kilometrów nie było to dla mnie męczące, tym bardziej że po drodze miałem wielu Przyjaciół.

Ja - wujek i rodzina

- W domu było nas czworo: starsza siostra, która - niestety w wieku pięćdziesięciu siedmiu lat zmarła nagle, i dwóch braci.

Ja jestem trzeci z kolei. Starszy brat Władek jest inżynierem budowy maszyn, młodszy Stefan - elektronikiem, wykłada na politechnice (jego żona też jest profesorem). Wszyscy mają rodziny, dzieci, mieszkają w Poznaniu. Widujemy się dość często - ja kilka razy w roku przyjeżdżam do nich, a niekiedy oni mnie odwiedzają w Rzymie. Jesteśmy ze sobą bardzo związani i to ja muszę odprawiać wszystkie chrzciny i wesela w rodzinie. Bardzo lubię te spotkania, rozmowy z dziećmi, które wdrapują mi się na kolana i pytają: wujku, kiedy możemy do ciebie przyjechać? Staram się pamiętać o ich urodzinach i imieninach, ale nie zawsze mi się to udaje, ale kiedy do nich przyjeżdżam... Odprawiamy wszystko naraz, cała rodzina się spotyka, atmosfera jest taka serdeczna... Jestem jedyną osobą duchowną w rodzinie.

Joanna Grzegorzewska

publikacja w „Gazecie Pomorskiej” 14 lipca 2006 rok;

tytuł: „Dziecko, co z ciebie wyrośnie?!”

Za przedrukiem w: *Świadectwo słowa*, red. G.Karolak, Ciechocinek 2008, s.109-113.